

KRONIKA LITERACKA.

Obóz Klassyków. Ustęp z historyi wyobrażeń literackich w XIX wieku. Z kórrispondencyi ułożył Lucyan Siemieński. Kraków. W drukarni „Czasu” W. Kirchmayera. 1866. W 8ce. Str. 116.

Mija z okładem lat czterdzieści, kiedy w pośród ciszy literackiej, nie zamąconej niczém, zaczęły się ukazywać jak ogniki błędne, głosy niechętne, przeciw uznanym powagom literackim i ich kodeksie, opartym na Arystotelesie, Horacym i Boalo.

Nieznany dotąd wyraz *Romantyczność* nagle się pojawia, dla jednych w postaci poczwary groźnej, niszczącej wszelki porządek ustalony w świecie piśmienniczym, dla drugich w uroczej postawie, wabiącej wdziękiem i powabem świeżości.

Równie nagle występują dwa obozy przeciwne, i na tle tego okresu dobitnie się malują: *Klasycey* i *Romantycy*.

Ażeby podać wierny obraz tych czasów i tych zapasów, cofam się myślą, i jako świadek współczesny, opowiem te walki, te zmiany wyobrażeń, które tak silnie oddziaływały na młode pokolenie.

W szkołach obeznawano młodzież z poezią, głównie podług *wypisów* pijarskich, które obejmowały utwory oryginalne od Jana Kochanowskiego, do pisarzy ostatnich z czasów Księstwa Warszawskiego.

Na *deklamacye* w niższych klassach zadawano: pieśni Karpińskiego, bajki Krasickiego, *Pacierz staruszka* Naruszewicza, i niektóre utwory Kniaźnina; w wyższych zaś: *satyry* Krasickiego, *listy* tegoż, *wyjątki z Iliady* Homera i *Enejdy* Wirgiliusza w przekładzie F. Dmochowskiego.

Młoda myśl bujała tylko w atmosferze starożytnych Greków i Rzymian, a staranny, drobiazgowy nawet wykład *mitologii*, robił je zrozumiałemi. Żadna myśl piękna w arcydziełach starożytniej *Hellady* i potężnej *Romy*, nie uszła baczności, żadna właściwej sobie nie straciła piękności.

Obok tego przeważnie literatura francuzka opanowała wszystkie głowy, tak pisarzy, jak i zwolenników literatury. Teatr, który tak ściśle łączył się ze społecznością ówczesną, zgromadzał licznych wielbicieli na przedstawienia tłumaczeń tragedji i *Kornella*, *Rasyna*, *Krebillona*, równie jak komedji *Moliera*. Pojawiały się na scenie i oryginalne utwory, ale ściśle zastosowane do przyjętego *code'u*. Tragedja prawdziwa musiała być w pięciu aktach wierszem; scena nie mogła się daleko przenosić; najlepiej kiedy się zawiązywała i kończyła w tymże samym gmachu. Komedja miała więcej *Molierowskiej* swobody.

Żadna myśl samodzielna artystyczna nie śmiała się objawić o oryginalnym utworze, któryby nie był ujęty w formy artykułami znanymi objęty. I społeczność w której niepoczowano potrzeby dzisiejszej zasilku codziennego duchowego, poprzestawała na udzielonym pokarmie.

Bądźmy jednak sprawiedliwemi: położenie ówczesne kraju, gdzieindziej zwracało myśl i uczucie ogółu. Zaledwie po głuchej ciszy i letargu, z końcem 1806 roku rozbudziło się nowe życie, cała inteligencya zwrócić się musiała do spraw kraju i jego organizacyi; reszta na inném polu kładła zasługi. Wiersz okolicznościowy, sztuka na scenę odpowiednia czasom, to było wszystko co stanowiło kwiat literatury tego okresu. Poczucie jednak *piękna*, zapał do tego co zacne i szlachetne nie wygasło, tylko nie było wymogi tak rozległej jak dzisiaj co do formy artystycznej. Widzieliśmy nieraz na scenie, jak wśród długich dialogów lub monologów, jeden wyraz, zwrot krótki elektryzował ówczesną publiczność, jak grzmiące wywoływał oklaski.

Przejrzyjmy z tamtego okresu najpopularniejsze piosnki, które tak ulubione, powtarzane były we wszystkich rodzinach. Prostota, uczucie i rzewność, oto ich wybitne cechy, przy bardzo skromnej formie wiersza, zaledwie mającego właściwą miarę do śpiewu.

O krytyce, w prawdziwem znaczeniu tego wyrazu, nie miano nawet wyobrażenia. Sławne towarzystwo *Isów*, ze starym *codexem* w ręku rozbierało sztuki dramatyczne, przedstawiane na

scenie, strzegąc pilnie, czy wedle jego przepisów rzecz poprowadzoną należycie została. Inni, rozbierając utwory poetyczne, pilnie śledzili usterków językowych, exorecyzmowali każdą myśl w śmielszych wypowiedzianą słowach, każdy prowincjonalizm, każdy wyraz z mowy ludu wniesiony do piśmiennictwa, jako polspolitość niegodną druku.

Czas płynął, nowe wyobrażenia zaświtały od Zachodu Europy.

Pierwszy który je zaczął skromnie wypowiadać był Kazimierz Brodziński: on pierwszy użył dwóch wyrazów nieznanych dotąd, *romantyczności* i *klassyczności*, i zaczął z nowych pól zbierać kwiaty poezji, które silnie oddziaływały na młode umysły.

Nie zapomnę nigdy wrażenia, jakie na nas uczniów wtedy wywarła mała książeczka, tułająca się po straganach przykościelnych p. n. „*Pieśni Madagaskaru*,” w przekładzie Brodzińskiego. Nowy świat poetyczny nagle się nam otworzył!

Tłumaczenia pieśni serbskich i czeskich, wreszcie owa siełanka krakowska *Wiesław*, to pierwsze gwiazdki na pochmurnem a powabnem niebie fantazyi.

Równocześnie niemal w *Cwiczeniach naukowych*, wystąpił Tymon Zaborowski ze swoim poematem z czasów Bolesława Chrobrego. Ustępy z niego to malujące w pełnym prostoty obrazie miłość *Anieli* i *Dobremira*, to strasznego czarodzieja *Bluda*, silnie przemówiły do naszej wyobraźni.

Potężny to był zaprawdę talent w Zaborowskim, ale nieśmiały, by zerwać pęta przepisów przyjętych: zmarniał ujęty w ich powijaki.

Nie skończył tego poematu, trawiony melancholią znalazł spokój wieczysty w nurtach Dniestru czy Zbrucza.

W tej atmosferze ciężkiego klassycyzmu, co już tracił pleśnią, zaczęła zwolna krążyć woń ożywcza prawdziwej poezji. Teatr który ścisłemi ogniwami wiązał się z każdą nową myślą i potrzebami społecznymi, nie pozostał zdala.

Pojawiła się *Dziewica Orleańska* Szyllera, w tłumaczeniu Andrzeja Brodzińskiego, *Matka rodu Dobratyńskich* w przekładzie Starzyńskiego, a niedługo i *Precyoza* I. D. Minasowicza. Jeżeli w dwóch pierwszych ukazał się w nowej formie dramat, nie ścieśniony ani jednością miejsca, 24 godzinami czasu, w *Precyozie* usłyszeliśmy poraz pierwszy wiersz cudny, pełen wdzięku i siły, słowem taki, jakiego jeszcze scena nasza nie знаła.

Wśród tych pojavów, zaczęła zwracać uwagę ogółu dawniej wyszła *Sybilla* Woronicza, ten wzniosły utwór prawdziwego natchnienia, a oddany językiem, co nam jednością i dzielnością przypominał najświetniejszą jego dobę ostatnich Jagiellonów.

J. U. Niemcewicz, który w drugiej połowie panowania Stanisława Augusta dał się poznać ze świetnego talentu znakomitą komedią: *Powrót posła* i wielu poezjami, lubo nie hołdował wyłącznie klasyczności ówczesnej, i brał co piękne ze wszystkich literatur zagranicznych, był bez wpływu na młodych pisarzy. Czytany, lubiony i powszechnie szanowany, zapoznawał nas z kwiatami poezji, z literaturą obcych, których żadne nie dotknęło pióro, ale o tych utworach prędko zapominano.

Tak powoli, zorza prawdziwej poezji zaczęła prześwitywać wśród wierszopisarstwa, które jakkolwiek rzadko kiedy mogło się pochlubić prawdziwem natchnieniem, tę zasługę miało, że strzegło pilnie czystości języka i gładkości wiersza.

Młode pokolenie zapoznało się z utworami Szyllera, Getego: Ludwik Kamiński w wybornym przekładzie Alexandra Popego dał nam wybór jego poezji. Kazimierz Brodziński oprócz Szyllera i poezji słowiańskich, wprowadził dawną *dumę*, kreśląc z całą rzewnością wiejską przygodę. (*Oldyna*, дума galicyjska).

A tak zwani klasycy, którzy sami przybierali chętnie tę nazwę, szli zwykłym swoim torem, nie troszcząc się o nowy rozwój myśli i znaczenie poezji.

Klasycy pojawiają się u nas z upadkiem Księstwa Warszawskiego, a pierwszymi latami Królestwa. Nazwę tę stosowano głównie do wierszopisarzy, jakkolwiek wyrażenie: *to pisarz klasyczny*, zwracano i do prozaików. Tego zaszczytu dostąpił Stanisław Kostka Potocki jako mówca.

Literaturę uważano nie jako objaw konieczny narodowego życia, ale jako przyjemną rozrywkę: ale i ta powinna być w formie znaniej i przyjętej.

Zkąd się wziął wyraz klasyka u nas pierwotnie, nie wiemy; pierwszy użył go, jak mówiliśmy, Kazimierz Brodziński, i od tej chwili wszyscy znakomitsi pisarze zapisywali się pod ten sztandar, tak dawnego *autoramentu* pracownicy bez tej nazwy, jak i nowo się zjawiający literaci.

Błogie to były czasy do zyskania łatwo sławy. Tłumaczenie ustępu z *Eneidy* Wirgiliusza, z *Henryady* Woltera, albo poematu Delila, przekład tragedji lub komedji wierszem, mającej wziętość w Paryżu, a tém samém i w całej Europie—wreszcie

kilka *od* Horacyusza, satyry Boala, lub drobnego wierszyka francuzkiego, już nadawało imię poety, i zwracało na tłumacza uwagę. Całe bogactwo naszej literatury składało się z samych tłumaczeń, i odrobiny oryginalnych utworów, ściśle zastosowanych do form głównie we Francyi przyjętych. Imiona Piotra Kornela, Rasyua, Woltera, Krebillona, Moliera i w. i. stały na świeczniku, pod niemi dopiero Franciszka Wężyka, Felińskiego, Kropińskiego jako tragiczków narodowych. Zagasta pamięć nawet Zabłockiego i Drozdowskiego, niepospolitego talentu komedyo pisarzy.

W takim położeniu rzeczy, pojawiają się *klassycy*: ludzie osobiście godni i zaci, ale uparcie przywiązani do swoich jednostronnych o poezyi wyobrażeń, nie czujący potrzeby reformy w pojęciach literackich. Każdy z nich był najściślejszy konserwatysta: trzymał się oburącz tych wyobrażeń, które starożytność pozostawiła, a wieki powagą swoją utrwaliły. Literatury nie uważał za objaw konieczny ducha narodowego, ale za przyjemną umysłową rozrywkę. *Klassyk*, wierszopisarstwo brał za poezyę—a dowcip za prawdziwy talent. Dlatego w ich gronie każda najpoważniejszej treści rozmowa, kończyła się żartem, dowcipkiem. *Klassycy* rzeczywiście mieli wielu dowcipnych ludzi, ale ani jednego poważnego myśliciela! Epigrama, bajeczka, to codzienne danie umysłowe, w rozgrzaniu ducha, *oda* albo *dytyramb*, odlane w formie uznanaj: a szczyt powołania poety tłumaczenie głównie francuzkich tragiczków, lub w ich ślady napisany oryginalny dramat z krajowych dziejów.

Pojawienie się Mickiewicza, w obozie *klassyków*, jak nazywa L. Siemieński szczupłe grono wierszopisarzy, zgromadzonych u stołu Wincentego hr. Krasińskiego, wywołało oburzenie, gniew, a następnie odurzenie i podziw.

Dzięki pracom Brodzińskiego, które cicho i nieznacznie oświecały umysł młodego pokolenia, wielki poeta od razu u niego znalazł gorące przyjęcie i uznanie. Zapal jaki obudził, żadne pióro określić nie może. Wszystko co tylko umiało pisać, rzuciło się do tworzenia *ballad* i *romansów* podług wzoru, jaki dał Mickiewicz, w dwóch tomikach pierwszego w Wilnie wydania.

Stefan Witwicki, rzeczywistego talentu pisarz, w ciągu kilku tygodni 2 tomiki napisał *ballad* i *romansów* i swoim nakładem ogłosił drukiem; ale gdy ostygł w zapale, sam osądził najlepiej niedojrzałe utwory, z równym pośpiechem wykupywał egzemplarze i niszczył je, jak spieszył z ich drukiem.

Klasycey zaczęli dowcipkować i drwić z młodego orła poezyi, który wznosił się coraz wyżej: ale gdy ujrzeli że ostre żarciki nie tu nie pomogą—poczęli się oburzać i naprawdę gniewać. Ale i ta *trytacja* poważnego dotąd grona, na nie się nie przydała: ujrzeli z rozpaczą że stanowisko ich zachwiane, i te pojęcia literackie uswięcone wiekami, jak spleśniałe grzyby, zaczynają się kruszyć, pod dotknięciem wielkiego poety.

Nie pojmovaliśmy długo powodu tej goryczy, jaką rozlał Mickiewicz w sławnej swojej rozprawie, umieszczonej na czele przy drugim wydaniu poezyi w Petersburgu: „O krytykach warszawskich.” Zwolennicy jego zapytywali pocichu, co wywołało ten grom, który odrazu zmiażdżył powagę całego uczonego grona klasyków. Drukowane bowiem krytyki na utwory Mickiewicza, jeżeli nie odznaczały się głębokością poglądu i pojęcia nowjery poezyi, były względne dla młodego poety.

Objasnia nam dopiero to rozdrażnienie jego, wydany *Obóz klasyków* przez Siemieńskiego. W listach teraz ogłoszonych, odkrywamy całą zaciętość Koźmiana starego, co wpadał w rozpacz, że w *ziemianstwie* swoim nie może dosyć godnie naśladować Wirgiliusza, teraz z całą zajadłością, wcale nieklasycczemi wyrazami objawia swoje oburzenie. *Sonety* wprowadzają go w rodzaj szału: pisze do Fr. Morawskiego w marcu 1827 r.

„Sonety Mickiewicza najlepiej oznaczył Mostowski jednem słowem, *paszkwil*! Nie wiem co w nich można znaleźć dobrego, wszystko bezecne, podłe, brudne, ciemne: wszystko może krymskie, tatarskie, tureckie, ale nie polskie. To jest sto razy gorsze jak wszystkie Marcinkowskiego płody. Marcinkowski jest płaski i wierszokłeta prawdziwy; Mickiewicz jest półgłówek wypuszczony ze szpitala szalonych, który na przekór dobremu smakowi i rozsądkowi, gmatwaniną słów niepojętego języka, niepojęte i dzikie pomysły baje: Marcinkowski jest tylko głupi, Mickiewicz szalony; Marcinkowski pisać nie powinien, Mickiewicz myśleć nie umie; Marcinkowski w miłostkach swoich jest płaski i cikliwy prostak, Mickiewicz brudny, karczemny; Marcinkowskiego *inagina*cyą ciężką i tępą rozkołysały w niesformość Dziedzille lubelskie, Mickiewicza niesformy zapach, rozdmuchały brudne litewskie pomywaczki; Marcinkowski nie wie, że jest prostakiem i nieukiem, Mickiewicz z pychą i dumą przekonany, że szaleństwo jest poezją, brudy farbami, ciemność światłem, niezrozumiałość niedoskonałością.”

Taka zaciętość ślepa, którą dzielali (wyjąwszy Fr. Morawskiego) wszyscy należący do *kateryi* Koźmianowskiej, nie była obcą Mickiewiczowi. Za to porównywanie siebie z Marciukowskim, oddał z nasypką porównaniem klasycznych poetów, z tym trefnieniem literackim.

Rozprawa o *krytykach Warszawskich*, była piorunującym ciosem dla wszystkich uznanych powag: wielki poeta w rozdrażnieniu swoim, uderzył na wszystkich bez wyjątku niemal pracowników, i tych nawet którzy w sporach toczących się między klasykami a romantykami najmniejszego udziału nie brali i nie mieli, gdyż zadaniem ich nie było wcale wierszopisarstwo. Rozprawą tą stanowczą dał przewagę szkole romantycznej, na której czele sam jedynie stanął, przyćmiwszy blaskiem geniuszu wielkie zasługi Kazimierza Brodzińskiego.

Obóz klasyków Siemińskiego rzeczywiście jest nadzwyczaj ważnym materiałem, dla poznania tej walki dwóch stronnictw, to jest konserwatystów klasyków i romantyków. Odkrywa w swém piśmie to, co starannie ukrywano w owym czasie, bo walka zacięta nie objawiała się w prasie peryodycznej tak ostro. Klasycy zgnębieni rozprawą Mickiewicza, uciekli pozornie, zostawiając wolne pole młodej szkole, która piór nie pożałowała: ale tém zagarcięj potępiali wielkiego poetę w rozmowach, w listach, w dowcipach rozrzucanych w rękopismach.

Wszystko to jednakże starannie ukrywano: żarcik L. Osin-
skiego, ów dwuwiersz przerobiony z *Dziadów*:

Ciemno wszędzie, glucho wszędzie,
Głupstwo było, głupstwo będzie.

obruszył do żywa młode pokolenie, i obrazę swoją dało uczuć autorowi, który żałował, że dowcipek ten w świat wypuścił. Za to drudzy byli ostróżniejsi: sarkali, żyzmali się ale w swoim kółku, w gronie zaufanem: tymczasem postać Mickiewicza rosła olbrzymio, i z każdą godziną powiększał się coraz orszak jego zwolenników.

W tajemnicy przygotowywano taran straszny, na rozbicie tej falangi i powrócenia napowrót do świątyni dawnego smaku i gustu. Fr. Morawski go odkrył, a miał być nim poemat Kajetana Koźmiana *Ziemiaństwo*. Ale niestety twórca jego trzymając się zasady Horacego, heblował wciąż i gładził swe wiersze, a zawsze znajdując coś do poprawek, nie spieszył się z wydaniem tego arcydzieła, które coraz z tak wysokiego stanowiska zaczęło scho-

dzień na właściwy stopień naśladownictwa gładkim wierszem *Georgik* Wirgiliusza. Z postaci które nam się przesuwają w tym obozie *klassyków* Siemińskiego, wydatniejsze szczególniejsz Franciszka Morawskiego, który z prawdziwym talentem poetycznym, lubo stosunkami przyjaźni związany z całym zastępem *klassyków*, o całą głowę ich przenosił pojęciem poezyi, i uznaniem geniuszu wielkiego poety. Jakoż zaprawdę po roku 1830 utwory jego w większej części należą do nowej szkoły: a najpiękniejszym ich kwiatem jest *domek mojego dziadka*, któryby mógł stanowić przedwstęp, po *Mohorcie*, do *pana Tadeusza Mickiewicza*.

Jezeli pierwsze utwory Mickiewicza tak rozjątrzyły *klassyków*, Wallenród już mniej wywołał zgromy: nie co do głównej myśli, ale wykonania artystycznego. Kajetan Koźmian znajduje w nim wiele pięknych myśli, ale wyżej nad *Iliadę* nie stawia.

W roku 1829 zawitała do Warszawy nowa edycja dzieł Mickiewicza w Petersburgu drukowana, ze sławną przedmową o krytykach Warszawskich.

Rozprawa ta, w której gniew często krzywe sądy wywołuje, jak zwykle bywa, smutne wydała następnie owoce. Jest to okres wydatny lekceważenia tak samej przeszłości, jak i w niej pracujących mężów. Nie umiając stawiać ich we właściwych ramach czasu, następcy Mickiewicza pociągali pod sąd krytyki swęj epoki: ztąd wyrodziło się tyle krzywych i błędnych sądów, nie tylko na polu literatury.

Rozprawa ta rozpłomieniła nowym zapalem dla autora *Dziadów* całe młode pokolenie, do tego stopnia, że gdy Mochnacki z rozwagą prawdziwego krytyka, uważał miłość Aldony i Alfa za zbyt sentymentalną, przypominającą romanse staro-rycersko-niemieckie, wywołał tém przeciw sobie oburzenie.

W tymże samym roku pojawia się *Meluzie* noworocznik pod redakcyą A. E. Odyńca.

W nim wystąpili zgodnie jakby w połączeniu braterskiem romantycy i *klassycy*. Obok Mickiewicza, Odyńca, Zaleskiego Bohdana, Witwickiego, Chodźków, Korsaka, widzimy Brodzińskiego, Klementynę Tańską, Fredrów Alexandra i Maksymilianą, Góreckiego Antoniego, Gaszyńskiego, Jachowicza, Korzeniowskiego Józefa, Lipińskiego, Minasowicza, Morawskiego i Niemcewicza. W następnym roku w wydanym tymże Noworoczniku, przybyły utwory Woronicza, Xawerego Godebskiego i Goszczyńskiego.

Ani Kozmian, ani Osiński i wielu innych klasyków, nie mieli w tém wydawnictwie udziału. Wymowny professor zdanie swoje o tém piękném piśmie zbiorowém wyraził, niby dowcipnie, w przerobieniu głównego tytułu Meliteli.

Odpowiedź F. S. Dmochowskiego na rozprawę Mickiewicza, jakkolwiek miała za sobą prawdę i umiarkowanie, a odpierała natarcia wielkiego poety, nie potrafiła znaleźć należnego uznania, samych nawet zagorzałych klasyków nie zadowolniła, właśnie dla swego tonu i umiarkowania. Jako areydzioło stronnictwa klasyków które miało przeciwnikom wydrzeć przyznawany tryumf, uważano, jakęśmy już wspomnieli, Kozmiana *Ziemiaństwo*. Rzecz godna uwagi, że Fr. Morawski, czy przez pochlebstwo dla dawnych związków przyjaźni, czy téż w dobrej wierze, zdanie to podniósł i podzielał. Kozmian naparty pisze do Morawskiego:

„Pędzę do końca: już mam tylko trzydzieści wierszy obrobić, które spoją epizod rolnika z rycerzem, i już koniec! Powinszuję mi, że mi już z głowy spadł kamień i że rymować nie będę.”

Nie zadziwimy się wcale tym skrzywionym wyobrażeniem, hołdującym przestarzałej formie, gdy wyczytujemy że prawdziwie piękny poetyczny przekład *Jerozolimy wyzwalonej Tassa* przez Ludwika Kamińskiego, w formie oryginału oddany, nie przypadł do smaku klasykom. Woleliby oni wiersz trzynastozgłoskowy, jako odpowiedniejszy powadze epopei.

J. U. Niemcewicz na posiedzeniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk w zagajeniu pragnąc zgody dwóch obozów nieprzyjaznych odezwał się ze słowami pokoju, i w zakończeniu przywiódł kilka wierszy z listu Morawskiego p. n. *klasycy i romantycy*. Ponura cichość chwilowo tylko panowała, a po niej odbiły się głosy niechęci, przeciw osiwiątemu autorowi Jana z Tęczyna!

Objaw ten przeciw takiej powadze, przeraził niewypowiedzianie klasyków. Morawski z przerażeniem czyta *Zamek Kaniowski*; Osiński przyznaje, że nie rozumie romantyków: a gdy następnie ei nie godzą się z nowym porządkiem rzeczy, on, jak dobrze wyraża Siemiński „jeden zstąpił do grobu ze swoją Odą do Kopernika, z Laharpem pod pachą i dwoma wierszami parodyi z Dziadów.”

Czytając *Obóz klasyków* zdawać się musi niezującym w owych czasach, o wielkiej zaciętości, jaka wrzała w obu stronnictwach, a tę myśl silnie popiera sławna rozprawa Mickiewicza na czele wydania 1829 r. pomieszczona.

Pamiętając zaś dobrze ów okres, kiedy tak wielka zmiana wyobrażeń literackich już się widomie przejawiała, nie widzieliśmy tej osobistej zawziętości.

Po pierwszym pojawieniu się dwóch tomików poezyi Mickiewicza, wydanych w Wilnie, za ich recenzyę przez F. S. Dmochowskiego, otrzymał tenże przez A. E. Odyńca w imieniu poety egzemplarz Wallenroda. Prassa peryodyczna objawiała zdania umiarkowanie, jeden Mochnacki w piśmie swém miesięczném *Dziennik Warszawski* silniej przemawiał, silniejsze zadawał ciosy, przeciw największej powadze jaką był *Jan Śniadecki*, za niefortunną jego rozprawę o romantyczności. Mickiewicza *przedmowa* spór literacki utrzymywany w szrankach umiarkowania, takowe zburzyła i rozogniła pióra. Klassycy zrzadka występując, publicznie w swoich kółkach z tém większą goryczą się odzywali poufnie, już w rozmowie, już listownie; ale żadne ich słowo nie zmarniało, o każdym wiedzieli przeciwnicy i do większej zaciętości przychodzili. Pomimo to wszakże, na prelekye Osińskiego pospieszali aby słuchać tej cudnej deklamacyi, którą barwił i okraszał, traktowanie przedmiotu płytkie i powierzchowne.

Czas jest najlepszym lekarzem na tego rodzaju walki. Ów wielki twórca *Ziemiaństwa*, co porównywał Mickiewicza z Marcinkowskim, w swęj zawziętości ostygł i zaczął uznawać geniusz poety. W listach które ma w swym zbiorze A. E. Odyńiec, maluje się wybitnie to uznanie (1). W sędziwych latach zamierzył

(1) W *Obozie klasyków* znajdujemy Kajetana Koźmiana pełno szorstkich wyrazów przeciw Mickiewiczowi i o całym gromie jego zwolenników i współpraci plemienny. Były to wszakże uniesienia jego chwilowe tylko; później, z przyjacielem Mickiewicza A. E. Odyńcem wielo był zbliżony i zmienił dawno swe uprzedzenia. Podam tu ustępy z trzech listów, które mi udzielił raczył autor *Felicyty* i *Barbary*—otrzymane od K. Koźmiana, którego Odyńiec zawsze cenil z prawości charakteru, a przebaczał mu uniesienia gniewu. Służyć one mogą jako dopełnienie do wydanych w *obozie klasyków* L. Siemieńskiego.

I.

Szanowny mój i dawny niegdyś w zawodzie literackim kolego! Jakże miły i jak przyjemny twój upominek odebrałem. Nie zapomniałeś więc Szanowny panie dawno zawiązanęj znajomości i przyszłości, a zaczął pamięcią o mnie już 80cioletnim starcu, obudziłeś we mnie uczucie niewystygłe dla swojej osoby i nieobludną część, którą zawsze wyznawałem dla twoich talentów, które tak chlubnie w tyln szacownych utworach przeżyi objawiłeś. Już ja znalazłem *Felicytę*, bo kogoż nie zachęca do

uczcić wielką epopeję, pamięć *Stefana Czarnieckiego*. Zygmunt Krasieński zachęcał go do tego dzieła, starzec przysyłał mu ustępy ze swego poematu. Nie odpowiedział wprawdzie tak wielkiemu

czytania płód znakomitego pisarza, zwłaszcza w tym duchu, w tym celu prawdziwie chrześcijańskim wydany, formą wzniosłej poezji i *tak pięknym rymowaniem* zalecony: umiałem ja go zgłębić, pojąć i ocenić, i jeszcze nie raz sobie zrobić tę przyjemność odczytać i sam dramat i uczone przypiski, ukarmić się nimi i pocieszyć. Odczytałem równie *Troje rymów*, a odmalowane w nich prawdy tak żywymi kolorami, oby poprawiły samolubnych bogaczów, równie jak wady wychowania obojg pici naszej młodzieży. Przyjm łaskawy panie za ten dar szczere i wdzięczne dzięki i racz zachować w stałej pamięci już zniedołężniałego starca, który ma zaszczyt wyznawać się stałym twoim przyjacielem i najniższym sługą.

Piotrowice, 1 lipca 1852 r.

II.

Szanowny i ukochany Panie Edwardzie!

Listem twoim i wierszem tak pięknym, arcy-pięknym, dołączonym do niego, listem nieoszaczowanym, wylanym z serca, który tylko nieobludne czucie przyjaciela nakreślić mogło, nadałeś mi i nabyłeś prawa do tego tytułu jakiego śmiałem użyć. O! jakże miły, jak przyjemny, wyprawileś mi niemi festyn w sam dzień mego święta; odbierz więc dzięki i dozgonnej wdzięczności wyrazy. Oddał mi te pisma z rąk swoich, w czasie samą ucztę, zaenry i kochany nasz gubernator Maćkiewicz; syn mój przeczytał je głośno, bo grono zebranych przyjaciół tego wymagało; poklasnęli wszyscy zacnemu autorowi, a ja z rozrzuwnionem sercem słuchałem, czasem zawstydzony twoimi zbyt łaskawymi wyrazami, zawsze wdzięczny i umiejący cenić i osobę i jej dla mnie uczucia. Otóż pomyślałem, listem moim wyszukałem sobie aż w Litwie dawnego towarzysza literackiego zawodu i przyjaciela; cóż może być starcowi droższego! Zgadłeś, wybadałeś dobrze i wytłumaczyłeś rzetelnie i mnie i siebie, i czasy owe, których samo wspomnienie tak rozrzuwnia. Oh! były to chwile szczęśliwe, pogodne, a jeżeli jaka chmurka przesunęła się po czystym i lazurowym niebie, nie grzmiała ona gradem, ale spuszczała deszcz ożywczy na te młode i wiele wróżące krzewy, aby w coraz piękniejsze barwy rozkwitały. Wypatrzyłeś dobrze w sercu mojem i chęci i zamiary; tak jest w istocie, obawa aby się młódź, za powagą genialnych wprawdzie lecz nie zawsze moralnych, a często trywialnych, a zatem niebezpiecznych wzorów, nie błakała się na bezdroża zatrutych zasad i złego smaku, była jedyną pobudką moją do podniesienia głosu wraz z temi, którzy jednakże ze mną wyznawali prawa moralności, rozsądku i dobrego smaku. Nie byłem ja nigdy zaslepionym obrońcą wszystkich bez różnicy form dotąd znanych, ale zgodnie ze zdrowym rozsądkiem uznawałem je nie uciążliwymi dla prawdziwych geniuszów, obrońcą zaporą dla miernych a zbyt śmiałych umysłów, a zbawienną dla literatury odrzą dla nieudolnych, a wygórowaną miłością własną kuszonych. Wszyscyśmy przeszli przez jednakie

zadaniu, bo brakło mu sił i znajomości samego przedmiotu, ale są w nim ustępy, które myślą i formą wiersza, pokazują niepośledni talent Koźmiana.

tęj miłości sidła. Szczęśliwy, kto po doświadczeniu zerwał je, stokroć szczęśliwy kto się tego nie wypiera, bo wtedy do natury i prawdy wraca. Wejss powiedział w swoich filozoficznych zasadach: „w latach 18 czulem się mędrce, w 30 spostrzegłem się że jestem głupcem; w 40 jak mało umiem, a w 60 jak wiele uczyć mi się jeszcze pozostaje.” Wszyscy więc bez różnicy przechodziliśmy tę drogę; lecz na bok uchylwszy najwyższe zdolności, talenta, geniusz, każdemu autorowi najprzód pocziwem, moralnym, religijnym być potrzeba; kto nie wyznaje tych zasad, kto z nich zupełnie ogołocony, bogdajby nie umiał liter stawiać! Zabawić może, zająć potrafi, lecz nie zbuduje, ale zgorszy; nie naprawi, ale zepsuje; nie pokrzepi, ale zarazi. Nie miernym ani mało znaczącym zdolnościom wiadomości w obecnych czasach skażenie umysłów i serca, ale wielkim i niewątpliwym geniuszom, tym niebezpieczniejszym, im wyższym i powagą popularności słynącym; a częściej jest popularnem złe, niż dobre. Quintilian enoty nad wszystko wymagał po mówcach; ja bym to i do poetów rad zastosować, tém bardziej, że poezję otacza wyższy urok wpływu na umysł i samą wymową posługiwać się umie. W przypiskach moich do *Ziemiaństwo* wyraziłem moje wyznanie wiary, moje pojęcie o poezji i co mięmiem godnem tego posłannictwa, które od Boga wraz z niebieskim ogniem odebrała. Com ja napomknął tylko wspierając się na powadze Horacyusza, tyś to uścił, tyś to okazał, tyś tego dowiódł kochany Panie Edwardzie, w swojej Felicycie. Na drodze ducha chrześcijańskiego w tych czasach sceptycyzmu i materyalizmu, wybrałeś przedmiot godny poezji, nie obnażyłeś swego pięknego utworu, ani z form, ani z uroku obrazów zmysłowych, bo czuleś, że przez zmysły pojmujemy rzeczy; pogodziłeś urok starożytności poezji z cudownością chrześcijańską.

Nie odstąpił cię styl, rym i gładkość wysłowienia, boś nie metafizykował, lecz przed oczy przedstawiał.

Czytaniem twojej męczennicy, nikt się nie umęczy, ale duchem jej w niebo się wzniesie. Wzywasz mnie mój kochany przyjacielu, o błogosławieństwo dla siebie i dla twoich towarzyszków; kiedy łaskawie niejaką uwagę do niego przywiązują, dam go z pełnego wdzięczności serca. Ostatnie pana Chodzki dziełko, użyzione mi przez J.W. Mackiewicza, z prawdziwą przyjemnością odczytałem, nie raz, ale kilka razy i biegam po mojem sąsiedztwie. Znam, ale nie wszystkie plody Syrokomli; kto tak pisze, kryć się nie powinien. Piszcie, piszcie, zacni i uczeni mężowie i młodzieńcy, tak jak dotąd pisaliście i piszecie, za wzorem zacnego Edwarda: nie dozwalam, ale proszę, udzielajcie mi łaskawie swoich plodów, a niech one będą pokarmem pokrzepiającym moją starość. Posilajcie literaturę narodową; u nas lemiess zarozumiałości zarządk powierzbnię naszej ziemi, zjałowiała, mało wydaje ziarna, a i to głuszą pokrzywy i chwasty. Wpomagajcie ją aby nie doświadczyła głodu.

Zacny twój krewny, zrobił mi nadzieję, iż cię skłoni do nawidzenia stron naszych i że cię przywiezie do naszego domu. Cóżbym dał aby to

Morawski z obozu klasyków przeszedł otwarcie do przeciwnego i w tej dopiero atmosferze pokazał, że był prawdziwym poetą, gdy zrzucił z siebie stare powijaki.

było podobnemi i jeżeli to być może, spiesz się, nie odkładaj, bo ja stary jestem i bardzo stary, 80 rok przepolawiam; już nie lata, nie kwartaly, ale może tygodnie moje są policzone. Po blisko 30toletniem niewiedzeniu może się z postaci nie poznamy, ale wiemy kto jesteśmy i poznamy się uczuciami. Iloż nie mamy rzeczy do wzajemnego sobie udzielania! Zaraz na wstępie przedstawiłbym ci mego Czarnieckiego, jako chrześcijańskiego bohatera; kulem ten epiczny posąg lat 15, nie wiem czy mi się udał; trzeba na to sądu, znawców, a tych jest tak mało u nas, lub mieszkają daleko. Wymarli Osinścy, Kruszyńscy, Woroniczowie, Felińscy etc. Niuu zacząłem dzieło, zastanowiwszy się głębiej, przekonałem się, że religia nasza jako objawiona, a zatem doskonała, może zastąpić pewniej i skuteczniej mitologią grecką, bo ma za sobą niezachwianą wiarę ludu, której tamta ani w autorach, ani w czytelnikach oświeconych, osobliwie w Rzymie, nie miała; więc ją tém śmiałej do mego poematu przybrałem, że bohater mój był bohaterem wieku religijnego, a równie historya jak ówczesna podanie i przekonanie przyznaje wpływowi nieba i cudom N. Papny Częstochowskiej, nadludzkie czyny Czarnieckiego i wydarcie Szwedom Polski. Kordecki u mnie gra drugą rolę w obronie kraju, wielką w Częstochowie i zawsze godniejszą natchnionego kapłana, od tej, którą mu dał w swojej powieści Kraszewski. Przyjadź więc, może poprawisz, dasz radę, i mnie w nadziei sądu potomności utwierdzisz; bo dla niej jest przeznaczone. Jak młodzi od starszych, tak zbyt starzy od młodszych i czerstwiejszych umysłów potrzebują wsparcia. Przeciaram, poprawiam, gładzę, ale czuję moją niedołężność. Z Warszawą mało mam związków, dwie tylko znałem dawniej terazniejsze wyżyny naszej literatury: Maciejowskiego i Korzeniowskiego. Korrespondencye moje także są bardzo ograniczone. General Krasński, Kosecki i Morawski często do mnie pisują. Wężyk czasem, Dmochowski nigdy; gdy Zygmunt (Krasinśki) mieszkał w Warszawie pisywał do mnie, teraz jest zagranicą, pozwól się spodziewać że nie odmówisz policzyć się w tém gronie a ja regularnie odpiszę.

Piotrowice, d. 10 sierpnia 1852 r.

III.

Bez daty:

Nie jestem ja tak zdrow jak o mnie donoszą. Starość chwilo rozrywam czasem rzucaniem na papier moich wspomnień publicznych i prywatnych z całego życia, bez pretekstu, według fantazyi jak na pamięć przychodzą; możeby cię i te *polpourri* zabawiły.

Ścisłam cię serdecznie kochany panie Edwardzie, utrzymuj mię w pamięci tych wszystkich, których imiona w liście swoim wyraziłeś, i powiedz im najuprzejmiej i przyjaźnielskie wyrazy.

Vale et me ama

K. Koźmian.

Obóz klasyków nie wyczerpuje zajmującego obrazu, jaki dać może ów okres gorącej walki i przewrotu wyobrażeń literackich. Zawsze przecież jest drogocennym materiałem dla badacza tamtych czasów. Walka ta oswabadza nas z jedynego pola naśladownictwa, wprowadziła na obszerne niwy rodzinne, i wskazała bogate plony dla oryginalnej samodzielnej literatury, którą się dziś chlubimy.

K. Wl. Wojcicki.

*Miron. Pieśni. Warszawa. Nakładem Leopolda
Grossmana. 1867.*

Pod tym napisem, mała książeczka przedstawia próbki poetyczne Mirona, znanego już publiczności z pojedynczych poezyi, które nasze pisma peryodyczne a szczególnie ilustracye ogłaszają od czasu do czasu. Zbiorek ten jest jakby przegrywką muzyczną do utworu większych rozmiarów. Na młodego poetę spoglądamy jak na pączek kwiatu i zawsze marzymy o nadziei. Młode poetyczne serce jest jak wosk najdelikatniejszy i najbardziej zmiękczone, na którym przez dotknięcie dzieł obcych odbijają się formy estetyczne. Według tych form, tworzą się i wysnuwają obrazki jak w kalejdeskopie, często na traf chwytnie, częściej z zamiarem rzucane. W nichto szukamy myśli poety, owocu wykształcenia i objawów zdolności, a przedewszystkiem badamy, czy czuje swe obowiązki i czy nasz świat jest jego światem. Pieśni Mirona po największej części są albo przekładami, lub naśladowaniem obcych utworów. Zdaje się jakoby Byron, Heine i Musset porwali na chwilę poetę na to, aby nam przygotował pokarm gorzki z żółci i octu. Szyderczy humor pełen nienawiści ludzi, który upadłą część ludzkości i zanurzoną w błocie, jeszcze bardziej w kałużę nogą popycha, uważamy tylko za cudzoziemską chorobę, z którą nie niemamy wspólnego. Napróżno Miron tak dosadnie o tym świecie odzywa się:

Na naszym świecie, niby w wazie błota
Pełnej po brzegi: wieszczów, szariatanów,
Cyfer i pieśni, szkieł czeskich i złota:
Cór pulchną Venus, Baalą kapłanów,
Akei i armat, chorób, spacyfików,
Prawdy i fałszu, serca i rozumu,
Cichych pacierzy i bluźnierczych krzyków,
Mądrych jednostek i głupiego tłumu.